

PAŃSTWOWY TEATR im. STEFANA ŻEROMSKIEGO
KIELCE - RADOM



JERZY SZANIAWSKI
ADWOKAT I RÓŻE

SZTUKA W 3 AKTACH

1956

CZY JA KRZYWDA?

Na ostatnim walnym zebraniu literatów warszawskich odezwały się głosy w sprawie Jerzego Szaniawskiego i dotkliwej krzywdy, jaką w latach 1949 — 1954 wyrządzono wielkiemu dramaturgowi współczesnemu. Częściowo tylko zgadzam się z tymi opiniami. Że nie grały sztuk Szaniawskiego polskie teatry, że jedno z wydawnictw dopiero obecnie przygotowuje pierwsze pełne wydanie tych utworów — wydaje mi się krzywdą wyrządzoną nie tyle autorowi „Adwokata i róż”, co — Jego czytelnikom i widzom. Szaniawski przyjmował prowadzone przeciw niemu kampanie — z mądrym uśmiechem filozoficznej wyrozumiałości. Umiął godnie znosić ataki, przemilczenie, krzywdę i niedostatek. Lecz my sami zapłaciliśmy za to wszystko — najpoważniejszy rachunek. Gdy tak bardzo brakowało nam dobrych sztuk teatralnych, nie wystawialiśmy utworów, pisanych z ogromnym talentem. Gdy odzywały się głosy upominające się o „zracjonalizowanie” literatury polskiej, wydobyć na jaw tego co było i jest związane z urokiem oryginalnej, i śmiałej myśli — ci sami heroldowie intelektualizmu głosili bojkot jednego z najmańszych i najbardziej przenikliwych pisarzy.

Rozwój dramaturgii Szaniawskiego jest równoległy z drogami jego badawczej myśli. Myślenie, jak stwierdzał Descartes, zaczyna się od „systematycznego wątpienia”; umysł krytyczny nie przyjmuje żadnych gotowych i skostniałych pewników; każdy z nich stara się zestawić z samodzielnym doświadczeniem, z rezultatami dostarczonymi przez obserwację. Tego rodzaju postawę można było stwierdzić w pierwszej już komedii Szaniawskiego: w niesłusznie zapomnianym „Murzynie”. Sprawa nowych metod wychowawczych, a szczególnie ich bezkrytycznego i frazeologicznego stosowania, — została tu oświetlona ostrym dowodem młodego i drażliwego pisarza. Jest w tej sztuce zmysł paradksu, drażnzone ludzkie pozory — ale jest i smak właściwej Szaniawskiemu, delikatnej i subtelnej poetyckości. Naiwnie stosowane metody absolutnej szczerości między wychowawcami a wychowankami prowadzą w jednej ze scen tej sztuki — do momentalnego, obustronnego zakłamania. Wspólnie snute marzenia o nieoglądanej nigdy dalekiej ojczyźnie afrykańskiej — rozgraniczają bezinteresowność zabawy dziecięcej młodego Murzyna — i pierwsze wyrachowane manewry zadurzonych pensjonarek.

Ogólnoludzkie w poruszanych tematach, pozornie wznoszące się ponad czasową „aktualność”, sztuki Szaniawskiego były i są związane z głębokimi prądami epoki. I przez to właśnie, po latach, zachowuje żywotność. Gdy nad powszechnie wtedy przyjętą estetyką ciążyły pojęcia symbolicznego oderwania od życia, autor „Papierowego Kochanka” upominał się w wymownych metaforach teatralnych — o prawdzi-

we, krwiste, realne piękno życia. Świetnym żartem pokazywał, że nawet paskarz, dorobkiewicz wojenny — może sobie łatwo zafundować frazeologiczny „kwandrans duszy”: udawać przeżycia estetyczne, których naprawdę nie doznaje. Ludzka i fałszująca bywa rola papierowych, wydętych symbolistyczną spekulacją, niezdolnych do prawdzi-



Jerzy Szaniawski

wego życia, „kochanków”. Bunt młodości przeciw szarzyźnie i smutkowi w „Ptaku” — napotyka na opory wynikające z podejrzliwości, nieufności, szufladkowatości. Wypuszczony przez Studenta ptak złocisty nie stanowi w rzeczywistości jakiegoś wykoncypowanego czy umownego znaku — jest natomiast mobilizacją ludzi, dążących do tego, „żeby było wesoło, żeby było ładnie”. Albowiem w samym życiu — nie w je-

go melancholijnym zaprzeczeniu — tkwią nieograniczone zasoby piękna, radości, harmonii.

Króciutkie streszczenie myśli, jakie nasuwają sztuki Szaniawskiego, nie oddaje zawartego w nich pełnego i zróżniczkowanego bogactwa. Dotyczy to szczególnie utworu, który stanowi jeden ze szczytów dojrzałej jego twórczości: „Żeglarza”. Prawda o bohaterze tej sztuki oddziałania nam się stopniowo, coraz to szerszymi respektami; „ubronzowany”, wyidealizowany kapitan — żeglarz z wyżyn mitu zostaje sprowadzony na ziemię pospolitą tchórzostwa i banalności; aby pod koniec ukazać nam, mimo wszystko, lepsze i jaśniejsze swe rysy. Oto nowoczesne, wierne postawie badawczej spojrzenie pisarza, nie zadowalającego się żadnymi gotowymi formułami, żadnymi pozorami, żadnymi wygodnymi, bo już wypracowanymi, rezultatami. Nieustanny, stale kontrolowany obserwacją wysiłek pogłębiania wiedzy o świecie i człowieku — jest najlepszym sposobem poznawania prawdy.

Wynikają stąd ważne konsekwencje już nie tylko poznawcze, ale i etyczne. Powierzchnowe, zadowalające się pozorami, sądy o człowieku — prowadzić muszą do krzywdy: taką lekcję odczytuję ze sztuki Szaniawskiego „Most”. Czy i w jakich warunkach można poświęcić cenne życie ludzkie? Jak rozstrzygnąć — konflikt między podziwem dla człowieka wartościowego, a koniecznością ratowania niewinnych? Spraw tych nie rozstrzyga twórca „Mostu” jakąś jedną gotową formułą; uwzględnia cały kompleks z nimi powiązanych pytań.

Piękna i porywająca jest funkcja obrońcy w karnym procesie sądowym. Jest piękna nawet i wtedy, gdy opinia, żądająca ukarania przestępcy; zwraca się przeciw adwokatowi, którego obowiązkiem bywa obrona człowieka najbardziej nawet winnego. Lecz heroizm obrońcy zaczyna się dopiero tam, gdzie w jakiś sposób musi on osłaniać człowieka, który — skrzywdził jego samego.

Gdzie biegnie granica między bezpośrednimi danymi naszej obserwacji i rozumowania — a ledwie uświadomionymi odruchami marzeń, tęsknot czy wyrzutów sumienia? Wielki teatr rzeczywistości wciąga w rachunek oba te krańce naszej wiedzy zarówno o jednostkach, jak i o całych społeczeństwach. Tak mi się przedstawia motyw przewodni napisanych przez Szaniawskiego zimą 1945 roku, w nieopalanym pokoju przy ulicy Krupniczej w Krakowie, niezapomnianych „Dwóch Teatrów”. Związek między szukaniem prawdy postulatami sprawiedliwości — oto problemy słuchowiska „Zegarek” oraz powojennej, granej dotychczas tylko w bydgoskim teatrze, sztuki: „Kowal, pieniądze i gwiazdy”.

Szaniawski, który jest także świetnym nowelistą oraz pełnym finem felietonistą — buduje każdy swój utwór z cierpliwym wysiłkiem, przypominającym twórczość Anatola France. Autor „Zegarka” zaskakuje nas przebiegiem akcji, jest odkrywca — mimo to niepodobna zaprzeczyć logice przyjętych przez niego rozwiązań. Jest jak najbardziej lapidarny, usuwa wszystko co bywa w utworze dialogiem zbędnym, nadmiernym, niecelowym. Jak bohater „Adwokata i róż”, cierpliwie i umiejętnie hodując swe dzieła, nigdy niezadowolony z osiągniętych rezultatów, choćby płonących odkrywczą myślą wiodąc i siebie i nas przez nikogo jeszcze nie uczęszczanymi ścieżkami — zmierza coraz wyżej i dalej.

(—) WOJCIECH NATANSON



*Jerzy Szaniawski na tarasie swego domu
w Zegrzynie k/Serocka*

JERZY SZANIAWSKI

ADWOKAT i RÓŻE

SZTUKA W 3 AKTACH

OSOBY:

MECENAS
DOROTA
DAMA

SIOSTRZENICA

MAREK

ŁUKASZ

PRZYJACIEL

AGENT

JAKUB

MŁODZIEŃC

SPRZEDAWCA GAZET

— BOLESŁAW ORSKI
— ANNA PRZYSIECKA
— MARIA HRYNIEWICZ
WINKLEROWA

AGNIESZKA BYRSKA
— WANDA SIEMASZKO

— WITOLD TOKARSKI
— RYSZARD MOSKALUK

— BRONISŁAW BORSKI
— CZESŁAW JAGIELSKI

— ZYGMUNT DRWĘSKI

— EDMUND BIERNACKI

— KAZIMIERZ KUREK

— . . .

Reżyseria:

TADEUSZ BYRSKI

Asystent Reżysera:

ANNA PRZYSIECKA

Scenograf:

JAN GOLKA

JERZY SZANIAWSKI

UŚMIECHNIĘTE SIOSTRY

Pan Frejcz, krawiec, miał zawsze twarz uśmiechniętą. Nie znaczy to, żeby się zawsze uśmiechał. Miał taką twarz. I nie mógł nadać jej innego wyrazu. Urodził się w takiej masce i nosił ją do końca życia.

Wiele niepowodzeń przypisywał pan Frejcz swej szczególnie zbudowanej twarzy. Przede wszystkim drażnił klientów. Oto przychodzi gość, aby zamówić ubranie. Pan Frejcz się uśmiecha. Bardzo to pięknie, bardzo uprzejmie i — po kupiecku. Ale bywało, że niekiedy pan Frejcz, po prostu mówiąc — sfuszerował. Na zwróconą przez klienta uwagę, odpowiadał uśmiechem. Twarz pana Frejcza nie wyrażała wówczas smutku, ani żalu za popełnione winy. Dodać należy, iż uśmiech ten był z lekka ironiczny. To wielu — drażniło.

Niektórzy znajomi pana Frejcza dzielili się z nim smutną wiadomością: ktoś umarł w rodzinie, albo będzie wojna, albo należy oczećkować nieurodzajów w całym kraju. Pan Frejcz uśmiechał się z lekkim odcieniem ironii. Nie lubiano za to pana Frejcz. Bo chociaż ludzie uśmiechnięci uchodzą za sympatycznych — człowiek sympatyczny nie może uśmiechać się wówczas, gdy doń mówią: „żona moja musi poddać się ciężkiej operacji“ albo — „nadmierne podatki wszystkich doprowadzą do ruiny“. A właśnie, słysząc takie słowa, pan Frejcz uśmiechał się z odcieniem ironii.

Żona pana Frejcz obdarzyła go, jak to się mówi, dwiema córeczkami. Gdy jedna dziewczynka miała cztery lata, a druga — trzy, matka coraz częściej płakała. Matka widziała coraz wyraźniej, że dziewczynki „wzięły twarze po ojcu“. Uważała to za nieszczęście. Nie będą miały powodzenia. Nikt się z nimi nie ożeni.

Dziewczęta rosły. Były ciche, grzeczne i — uśmiechnięte. Ksiądz mówił na ambonie tak, że ludzie płakali: siostry uśmiechały się ironicznie; sąsiadka przyszła do matki mówiąc — „moja pani... będzie jeszcze gorzej“ — siostry i wówczas twarze miały uśmiechnięte.

Nie lubiano dziewcząt.

Pomimo trzech uśmiechniętych twarzy w rodzinie — w domu tej rodziny był smutek. Ojciec nigdy nie chciał pójść w towarzystwie córek ani do kościoła, ani na spacer. Pomimo, że kochał córki bardzo. Ale pan Frejcz wrażliwy był na to — „co ludzie powiedzą“. Słyszał raz dowcip gdy szedł razem z córkami: „Trio Frejcz“. Od tego czasu unikał spacerów z córkami.

Matka płakała.

Dziewczęta rosły. Postacie miały coraz ładniejsze, a twarze, coraz brzydsze, coraz więcej charakterystyczne. Czuły niechęć ludzi, wstyd ojca, widziały lzy matki. Stawały się coraz smutniejsze, skryte, mało-mówne. Bez słów mogły się porozumiewać; kochały się bardzo. Były tak podobne, że wszystko, co szło do nich z zewnątrz, odbijało się jednakowo w ich twarzach. I jakby miały w swych duszach jednakowe zwierciadła o zupełnie jednakowych właściwościach, które odbijały rzeczy widziane na swój sposób. Można by to nazwać zwierciadłem — melancholijnym. Tak, jak się mówi — zwierciadło wklęste. I miały



Nad Narwią

w sobie struny, jakby jednego instrumentu. Rzeczy zewnętrzne ocierając się o te struny, wywoływały dźwięk smutny. Dziewczęta rosły. Pan Frejcz nie miał powodzenia jako krawiec. Matka płakała.

★ ★ ★

Krajem rządził dyktator. Energiczny ten człowiek, co miesiąc uszczęśliwiał obywateli „dniem specjalnym“. A więc był — „dzień wytężonej pracy“, „dzień oszczędności“, „dzień dobrowolnej daniny na rzecz skarbu państwa“. Dyktator był bystrym psychologiem. Wiedział, że gdy zanadto uderzać po kieszeniach obywateli — można przeciągnąć strunę. Można wywołać szemrania. Więc postanowił urządzić raz dzień, który nic nie będzie kosztował — „dzień uśmiechu“.

Już na kilka dni przed dniem projektowanym, zrobiono kilka portretów dyktatora uśmiechniętego. Dyktator wybrał podobiznę najlepszą, która odbita w setkach tysięcy, ukaże się w dniu czczonym. Zupełnie wygolona, plastyczna twarz dyktatora zarażała śmiechem, tak jak przed „dniem oszczędności“ sugestionowała tłumy wprost — ascetyzmem.

„Dzień uśmiechu“ był dobrze wybrany — święto, a wiosna w pełni. A przy tym od rana — słońce. Przeciwnicy dyktatora mówili: „ten człowiek w czepku się urodził: nawet pogoda mu dopisuje“.

Na miasto wyszły tłumy. Jedni drugich witali uśmiechem. Uśmiechali się uczniacy do spotykanych nauczycieli, nauczyciele do kwiaciarek, kwiaciarki do starych dam, damy do szoferów, szoferzy do policjantów, policjanci do pensjonarek — trudno wyliczyć, kto do kogo się uśmiecha. Byli i tacy, co uśmiechali się sami do siebie.

* ★ *

I siostry, córki pana Frejczy, wyszły dziś na ulicę. Z córkami wyszedł ojciec. Trójka ta nikogo dziś nie razila. Uśmiechnięta rodzina niosła w sobie, jak zawsze smutek — ale córki i ojciec czuli się dzisiaj lepiej, jakby płynęli łagodnie, bez wysiłku, unoszeni prądem rzeki.

Weszli do miejskiego parku. Ojciec usiadł na ławce, córki podeszły o kilkadziesiąt kroków dalej, nad brzeg stawu. Patrzyły uśmiechnięte. Wielkie, kwitnące kasztany rzucały cienie głębokie, idące do dna wód. Po niebie przepływał biały obłok, który porównać mógł — człowiek patrzący — do łabędzia, jak płynącego po stawie łabędzia — do białego obłoku. W oddali widziało się białe mostki, po których przebiegała dziewczynka ubrana czerwono. Siostry patrzyły. Rzeczy widziane zaczęły się zmieniać w odbiciu ich zwierciadeł melancholijnych, które w sobie nosiły — na muzykę spokojną i smutną. Łabędź był melodią, która płynie z zieleni i błękitu. Siostry stały wsłuchane jak w nokturn, choć to był dzień i przy tym słoneczny. Czerwono ubrana dziewczynka przebiegała po mostku niby żywy, weselszy pasaż i znów potem siedł smutek z zieleni i z błękitu, z obłoku i od łabędzia. Siostry twarze miały uśmiechnięte.

Do sióstr zbliżył się nieznajomy chłopiec. Grzecznie zaczął rozmawiać. Do rówieśniczek dziewcząt nieraz już podchodzili chłopcy. Do nich nigdy. Serca były im silnie. Onieśmielone, zawstydzone, odpowiadały tylko — „tak” i „nie”. Raz jedna z sióstr zdobyła się na powiedzenie — „bynajmniej!”, druga — „istotnie”. Grzeczny chłopiec o miłym głosie zaczął tłumaczyć się, iż ma — niestety — ważną sprawę. Jo załatwienia w „kole sportowym”... ale sądzi, ma nadzieję, iż będzie miał przyjemność spotkać panie kiedykolwiek... Pożegnał je.

Siostry zrozumiały, że to tylko wymówka: znudziły go. Bardzo był grzeczny i miał miły głos. Mogłyby powiedzieć więcej, niż „bynajmniej” lub „istotnie”... Ale on... Ma do załatwienia sprawę w kole sportowym... Siostry uśmiechnięte patrzą na staw. Chłopca nie widać, skrył się na zakręcie alei, ale dziewczęta wiedzą, że ukaże się jeszcze na mostku. Oto wszedł na biały mostek — serca zabiły im silniej — zniknął, już go więcej nie ujrzą... Miał ładny głos. Mówił do nich pięknie o wiosnie i o tym, że wszyscy się dziś śmieją... Zielono, staw spokojny jak niebo, powoli płynie łabędź... Siostry patrzą przed siebie z uśmiechem.

* ★ *

Nie opodał stojących dziewcząt, w gąszczach nadbrzeżnych krzewów, czatowała postać. Nie był to satyr, tylko — fotograf z gazety. Z lekka stuknęło w aparacie — uchwycił. Czuł ten artysta, że uchwycił „syntezę” dnia dzisiejszego: wiosnę i uśmiech.

Nazajutrz były w dziennikach sprawozdania o pięknie udanym dniu wczorajszym, czyli o dniu uśmiechu.

Są ludzie kwaśni, którzy słowu drukowanemu nie wierzą. Dla tych — obrazem sióstr uśmiechniętych — ozdobiono pierwszą stronicę gazety.

JERZY SZANIAWSKI

(z tomu „PROFESOR TUTKA I INNE OPOWIADANIA” — Kraków 1955)



Portret z kotem

Wszystkie zdjęcia umieszczone w programie wykonał artysta fotografik Franciszek Myszowski, Warszawa.

W przygotowaniu:

OSKAR WILDE

BRAT MARNOTRAWNY

Komedia w 3 aktach

Przekład: B. Górczyński

Reżyseria: Ireny i Tadeusza Byrskich

Scenografia: Moniki Żeromskiej

LOPE DE VEGA

DZIEWCZYNA Z DZBANEM

Komedia w 3 aktach

Przekład: Aleksander Maliszewski

Reżyseria: Tadeusza Kubalskiego

Scenografia: L. Jankowskiej i A. Tołsty

DYREKTOR i KIEROWNIK ARTYSTYCZNY T. BYRSKI
